

Uniwersytet – Przestrzenie wspólnoty. Ankieta

Piotr Kuligowski

Uniwersytet rynkowy czy wspólnotowy?

Etos wspólnotowy, wbrew logice wolnorynkowej, zdaje się być nierozzerwalnie związany z prawidłowym funkcjonowaniem uniwersytetów. Etymologię słowa uniwersytet wywodzić wszak można od łacińskiego *universitas* oznaczającego pewien szczególny rodzaj wspólnoty, której członkowie wymieniają się wiedzą. Tylko w takiej sytuacji bowiem istnieć może prawidłowa, wielopłaszczyznowa interakcja, zarówno pomiędzy studentami a wykładowcami, jak i wewnątrz każdej z tych grup. Uczelniane mury winny być utożsamiane z kuźniami wolnej i nieskrępowanej myśli, z kopalniami wiedzy, z obszarami, które co i rusz aplikować będą nowe idee do sfery publicznej. Sfery, która – pozbawiona owych idei – staje się przestrzenią zatechłą i zatracą swe przeznaczenie.

Tak właśnie rzecz się miała na przestrzeni wieków. W starożytności, dzięki zaangażowaniu studentów, powstawały kopie dzieł najważniejszych ówczesnych myślicieli, które dzięki temu ocalały od uszkodzenia podczas rozlicznych dziejowych zawieruch i po dziś dzień przyczyniają się do wzniecania żywych dysput. W wiekach średnich zubożali żacy, na których mieszczanie wylewali pomyje z okien swych ubogich „kwadratów”, nierzadko okazywali się być jedyną grupą społeczną, która starała się wybiegać myślami daleko poza dominujący nurt myśli chrześcijańskiej. Z późniejszego okresu wystarczy przywołać polskich studentów doby rozbiorowej. Liczni literaci (choćby ci najwięksi: Adam Mickiewicz i Stefan Żeromski) zderzyli ich postawę z obrazem zblazowanej szlachty, filistersko rozczytującej się w dziełach sentymentalistów i zainteresowanej raczej napływem zachodnich mód i francuską perfumacją, niż walką z despotyzmem czy snuciem refleksji na temat nowego ładu w wyzwolonej Rzeczypospolitej. Nie kto inny, jak właśnie studenci przejęli na siebie cały ciężar, którego nie była w stanie udźwignąć odchodząca w cień historii warstwa społeczeństwa. To oni tworzyli paramasońskie grupy filomatów i filaretów, zawiązywali sprzysiężenia, spiski, dyskutowali o nowych pomysłach na wyleczenie społeczeństwa z toczących je gangren. To właśnie studenci, wprzężeni w germanizujący i rusyfikujący system edukacji, okazali się być najbardziej odpornymi na siermiężną propagandę despotycznych

władz. Mało tego, pomimo represji ze strony cesarza i cara, potrafili wносить powiew świeżości do polskiej myśli doby rozbiorów.

Nie inaczej rzecz miała się w XX wieku, w którym kulminacją fermentu ideologicznego na uniwersytetach całej Europy stał się rok 1968. Wtedy to studenci – wspólnotowo, a nie indywidualistycznie – podnieśli z całą mocą hasła antysystemowe i emancypacyjne. Na zachodzie organizowano olbrzymie demonstracje pod hasłami chińskich komunistów, a w bloku wschodnim domagano się wolności słowa i rzeczywistego realizowania postulatów społeczeństwa w państwie rzekomo należącym do robotników i chłopów.

Dopiero neoliberalizm przyniósł rozprężenie w wielowiekowej solidarności żaków. Ów system ekonomiczny, nachalnie promujący kult pieniądza, skrajny indywidualizm i wyścig szczurów, w swej ideologii był dokładną odwrotnością tego wszystkiego, co powinno cechować uniwersytet oparty na wspólnocie. Studenci w znakomitej większości ulegli przeobrażeniu z rozmarzonych poszukiwaczy wiedzy w klientów, pragnących tytułu naukowego, który w możliwie największym stopniu pozwoli na poprawę wyglądu ich CV oraz umożliwi znalezienie wygodnej posady w przyszłości (innymi słowy, pozwoli „sprzedać się” za możliwie wysoką cenę). Zmieniło się również samo oblicze szkół wyższych, które po systemowej metamorfozie stały się *de facto* fabrykami jednakowych produktów. Dodatkowo uczelnie prywatne oparły produkcję (dawniej – „kształcenie przyszłych kadr intelektualnych”) na czysto rynkowej chęci zysku.

Obecna dekadencja międzynarodowego kapitalizmu zdaje się nieść ze sobą pierwsze symptomy przełamania patowej sytuacji. Kryzys gospodarczy, bezrobocie, niepewność jutra, wojny w każdym niemal zakątku świata – wszystko to prowadzi do powszechnej frustracji, ale również okazuje się być definitywnym kresem Fukuyamowskich mrzonek o „końcu historii” i stawia całe rzesze ludzi przed pytaniem „co dalej?”. Odradzający się ruch studencki musi umieć wyartykułować przekonujące odpowiedzi na tak, z pozoru tylko banalnie, postawiony problem.

Zachód Europy, który przez dłuższy niż reszta kontynentu czas miał możliwość nacieszenia się „dobrodziejstwami” gospodarki rynkowej, zaczyna przywracać etos wspólnotowy do łask. Tamtejsi żacy wspólnie wypracowują strategie działania i konsekwentnie je realizują oraz, co bardzo ważne, obok czysto „uczniowskich”, doraźnych postulatów artykułują również bardziej ogólne cele, słusznie rozumując, iż uniwersytet jest integralną częścią społeczeństwa i stanowi poniekąd odbicie jego kondycji. Wskazują na to szczególnie protesty, które w ostatnich miesiącach wstrząsnęły tamtejszymi szkołami

wyższymi. Austriaccy studenci okupowali uniwersytety w Wiedniu, Linzu, Grazu, Klagenfurcie i Innsbrucku, szwajcarscy w Genewie, Bernie i Zurychu, a ich niemieccy koledzy z Hamburga przegłosowali przyjęcie uchwały stwierdzającej, iż kapitalizm to „system, w którym wyzysk człowieka przez człowieka traktowany jest jako coś zupełnie naturalnego”. Mamy zatem do czynienia z odradzaniem wspólnotowości nie tylko w wymiarze międzynarodowym, ale także wielopłaszczyznowym.

Wobec powyższego zdaje się, że ruch studencki winien pełnić rolę swoistego respiratora dla zaśniedziałego społeczeństwa, nie tylko w celu realizacji własnych dążeń. Zachodzi tutaj również inna zależność – przyszłe kadry intelektualne, kształcone za publiczne pieniądze, zaciągają swoisty dług, który w ramach zwyczajnej uczciwości powinien zostać spłacony. Paradoksalnie sytuację tę bardzo dobrze rozumiał słynny poznański liberał i organicznik Karol Marcinkowski, stwierdzając, iż: „Wychowanie nasze jest to dług zaciągnięty u ogółu, z czego się w swym czasie wypłacać winniśmy”. Dług ten polega właśnie na nieustannym wnoszeniu w życie społecznie nowych jakości, sianiu niepokoju i fermentu intelektualnego, prowokowaniu i szokowaniu. Z całą pewnością jest to odpowiednie zadanie dla dawniej śmierzących pomyjami, a dzisiaj nierzadko wychudzonych, niewyspanych i zmęczonych przez całonocną naukę studentów. Jego realizacja będzie jednak znacznie łatwiejsza, jeśli będą oni szczepieni więzami owej szczególnej wspólnoty, którą tworzyli przez wiele wieków, a nie owładnięci rynkowym indywidualizmem i egoizmem.

Piotr Forecki

Wspólnota do wyobrażenia

Uniwersytet jako wspólnota istnieje dziś wyłącznie w pełnej patosu retoryce jego hierarchów, którzy kliszą akademickiej wspólnoty posługują się rytualnie w rozmaitych oficjalnych kontekstach. Być może nawet niektórzy z nich wierzą w jej istnienie, stawiając tym samym znak równości między nominalną przynależnością do akademickiego świata i jego instytucji a konstelacją rzeczywistych więzi, oddziaływania, a przede wszystkim aktywnego współuczestniczenia w życiu społecznym i jego kształtowaniu. Otóż, o ile uświęcona uniwersytecka wspólnota instytucjonalnej przynależności w istocie istnieje jako swoista korporacja, to uniwersytet jako zaangażowany podmiot stosunków społecznych i uczestnik publicznej debaty na tematy ważne z punktu widzenia wspólnoty jest bytem raczej mgławicowym, by nie powiedzieć: wycofanym, a przez to nieobecnym.

Obecność ta wyraża się dziś jedynie w dostosowaniu do nakazujących komercjalizację neoliberalnych mechanizmów rynkowych, które dla wspólnotowych funkcji uniwersytetu stanowią nie tyle zagrożenie, co przede wszystkim wyzwanie w imię obrony własnej niezależności, autonomii i tożsamości. To widoczne gołym okiem i groźne dla ducha wspólnoty dostosowanie emanuje nie tylko z treści ministerialnego projektu wprowadzenia opłat za drugi kierunek studiów. Projektu, podkreślmy to z całą mocą, zdecydowanie antywspólnotowego i wykluczającego (chyba, że minister Barbarze Kudryckiej bliska jest koncepcja wspólnoty elitarnej przy jednoczesnym kreowaniu wspólnot reprodukowanej biedy), a przy okazji projektu krótkowzrocznego i być może stanowiącego dopiero pierwszy krok na drodze do powszechnej i pełnej odpłatności za studia. Znacznie bowiem groźniejsza dla samej idei nowoczesnego uniwersytetu i związanej z nim wspólnoty jest dziś jego dyktowana potrzebami rynku ewolucja w kierunku roli wypełnianej dotychczas przez szkoły zawodowe. Obrany kurs, wyznaczany badaniami sondażowymi, głosem przedsiębiorców i analityków oraz edukacyjną telemetrią, może bowiem doprowadzić do sytuacji, w której uniwersytety zdominowane zostaną przez takie kierunki jak prawo, marketing i zarządzanie. Rzecz jasna nie ma niczego złego w samych tych kierunkach, jak i w kształceniu fachowców. Problemem jest natomiast dokonujący się na naszych oczach i zabójczy dla autonomii uniwersytetu alians z neoliberalnym rynkiem (na jego prawach), w ramach którego to właśnie rynek staje się najwyższą instancją legitymizującą działalność uniwersytetów i ich ofertę

edukacyjną. Relacja taka czyni z uniwersytetu instytucję służebną, poddaną logice sukcesu komercyjnego i podporządkowaną panowaniu „mentalności telemetrycznej” (Pierre Bourdieu). Poniekąd zamienia uniwersytet w punkty sprzedaży bestsellerów, czym równocześnie zajmują się konkurencyjne szkoły prywatne, gdzie o dyplom wciąż jest łatwiej, szybciej i mniej boleśnie.

Jednakże to nie tylko przesiąknięcie uniwersytetu duchem kapitalizmu i dostosowywanie edukacji do potrzeb rynku paraliżuje jego funkcjonowanie w duchu wspólnoty i utrudnia myślenie o nim w takich kategoriach. Istotną przeszkodą wciąż pozostaje właściwa mu i stale reprodukowana hierarchiczna struktura o wyraźnie ekskluzywnym charakterze. Doskonale wiedzą o tym doktoranci oraz młodzi adiunkci, funkcjonujący w dworsko zorganizowanych katedrach i zakładach, choć naturalnie istnieje wiele chlubnych odstępstw od tej swoistej i poniekąd immanentnej tradycji. Tak czy inaczej, gdyby odwołać się jeszcze do właściwej uniwersytetowi męskiej dominacji, poziomu otwartości na studentów i wykładowców z zagranicy oraz studentów niepełnosprawnych, to odnoszone do niego pojęcie wspólnoty zaczyna dziwnie nie przystawać. Koliduje ono także w kontekście wciąż królującej szkolnej metodyki prowadzenia zajęć oraz weryfikowania wiedzy, jakże dalekiej od idei wspólnej refleksji i swobodnej wymiany myśli. Metodyki dodatkowo utrwalającej, a zarazem pogłębiającej szkody wyrządzone nową maturą, która zredukowała przyszłych studentów do rzemieślników od rozwiązywania testów w miejsce istot zdolnych do samodzielnego i krytycznego myślenia.

Stąd też idea i praktyka funkcjonowania uniwersytetu jako wspólnoty wymaga dziś nie tylko obrony przed neoliberalną komercjalizacją, ale także pewnej wewnętrznej autorefleksji i metamorfozy. Przede wszystkim jednak, by w ogóle móc mówić o uniwersytecie w kategoriach wspólnoty, trzeba sobie tę wspólnotę ponownie wyobrazić i określić sens jej istnienia we współczesnej Polsce. Postawić fundamentalne pytania o jej autonomię i krytyczny potencjał, obecność w publicznej debacie i niezależność formułowanych w niej opinii, zdolność do poruszania tematów społecznie istotnych oraz proponowania alternatywnych rozwiązań w toku rodzących się na bieżąco problemów etc. To tylko niektóre z nich, ale wszystkie one prowadzą do tego najważniejszego z pytań: jaka jest dziś relacja uniwersytetu ze wspólnotą obywateli? Jakie miejsce w jej ramach zajmuje i jaką rolę odgrywa? Czy zachowuje z nią łączność? Czy ową wspólnotę współtworzy i czy na nią oddziałuje? Krytyczne i niezależne zaznaczenie swojej obecności w życiu społecznym i życiu wspólnoty wydaje się naczelnym celem uniwersytetu. Naturalnie i bez dwóch zdań niezależność wymaga zdecydowanego zwiększenia publicznych środków jego finansowania,

bo te aktualnie przeznaczane na ten cel z budżetu państwa są żałośnie małe i narażają państwo polskie na pełen politowania grymas w europejskim otoczeniu. Jednakże uruchomienie wyobraźni w imię określenia swojej tożsamości, przywrócenia utraconych azymutów i zdefiniowania swojego miejsca we wspólnocie nic nie kosztuje. Bez niej zaś na nic wszelkie środki, choćby każdy z kolejnych ministrów szkolnictwa i rektorów był królem Midasem. Nie tłumaczmy zatem własnego imposybilizmu groźbą prezydenckiego weta. Prawdziwe wspólnoty zawiązują się dziś w opozycji do uniwersytetu.